

# **Część III**

**Celina**

## 15 czerwiec

Oblałam historię: zwykły i poprawkowy, został już tylko komis. Jeszcze ta poetyka! Powiedziałam głośno coś ironicznego na temat urody Karalucha, żeby opędzić się dziewczynom dokuczającym mi, że piątki mam tylko ze względu na specjalne upodobania erotyczne do mojej osoby - a on stał w otwartych drzwiach sali i wszystko słyszał. Tak głupio dać się złapać! Chodziłam trzy razy zaliczać; wszystkich odpytywał, a mnie kazał czekać do końca, czasem aż do późnego popołudnia, po czym wyrzucał za drzwi bez wysłuchania nawet słowa. Za czwartym razem, kiedy już mijał termin oddawania indeksów powiedział, że gdy będę powtarzać rok, to lepiej zapamiętam Karalucha-erotomana.

Byłam zła, ale najgorsze, to wstyd, że postąpiłam nie tylko głupio, ale i podle. Nie można bez powodu, albo z bardzo błahych powodów obrażać innych, zwłaszcza takich, których mimo, że się nie lubi - to jednak darzy uznaniem. To, że dziewczyny się ze mnie śmiały, a ja szukałam na gwałt sposobu, żeby je uspokoić i zachowałam się przez to, jak smarkata idiotka, nie jest wystarczającym usprawiedliwieniem. Przecież naprawdę Karaluch w stosunku do mnie był zupełnie inny, niż do reszty grupy - nie prawił mi swoich charakterystycznych złośliwości, nie dokuczał jak innym, czasem całe ćwiczenia tylko ze mną dyskutował. Biegał wtedy po sali potracając stoły, zapalał się machając swoimi długimi rękami, a w chwilach większego napięcia wbijał głowę w plecy unosząc jednocześnie szpiczaste ramiona tak, że wyglądał, jak prawdziwy garbus. Gdy dopadał mnie, zatrzymywał się na chwilę wyrzucając potoki słów, z powodu szybkości czasem zupełnie niezrozumiałych, a ręce i nogi podrygiwały mu spazmatycznie, po czym ganiał dalej dookoła sali. Trudno o coś mniej poetycznego, niż ta poetyka i Karaluch razem wzięte. Ale w tych momentach, wbrew sobie odczuwałam coś niezrozumiale podniosłego, choć na krawędzi groteski; bo, mimo że mówił tylko do mnie i patrzył tylko na mnie, oczy miał wodniste i nieprzyjemne. Nie wiedziałam, co o nim myśleć. Imponowało mi na początku, że tak mnie wyróżnia, ale zawsze się go trochę bałam i nie darzyłam go sympatią. Nie, to jest źle powiedziane. Zdecydowanie nie lubiłam go, ale na jego widok odczuwałam coś w rodzaju nieprzyjemno - przyjemnego mrowienia.

Co mi strzeliło do głowy, żeby tak się wygłupić, nie obejrzawszy się przedtem na drzwi! Teraz mam za swoje. Chodziła do niego opiekunka roku, sam dziekan prosił,

ale ten uparł się, że nie zaliczy i koniec. Nawet nikomu nie raczył się wytłumaczyć, dlaczego. Kto wie, może i lepiej, bo tak wszyscy mnie uważają za skrzywdzoną.

Muszę więc i tak powtarzać rok, choćbym nawet zdała i ten komis z historii.

Najszybciej zorientował się ojciec. Ten to dopiero ma wywiad!

W tym miesiącu nie przysłał już pieniędzy na mnie, a jak matka poszła go prosić (dlaczego kobietom brakuje ambicji?!), powiedział, że zacznie dopiero płacić od trzeciego roku; ponieważ powtarzam drugi rok ze swojej winy - więc muszę sama pomyśleć o tym, jak się przez ten czas utrzymać. Tak więc straciłam pięćset złotych od ojca i trzysta stypendium. Same korki to za mało, żeby nadrobić tę stratę, tym bardziej, że dopiero w drugim półroczu są chętni. Oprócz tego, co dawał ojciec, ja na swoje utrzymanie musiałam płacić tysiąc. Zwykle z korków miałam te siedemset plus trzysta stypendium, a gdy mi w pierwszym półroczu brakowało, chodziłam do jednej z fabryk rozbijać skrzynki na deseczki i jakoś to było. Czasami udawało mi się zarobić na swoje potrzeby dodatkowo nawet ze dwieście; mama miała, co chciała, a i ja nie narzekałam. Skąd ja teraz wezmę forszę? Z tych deseczek i mycia okien więcej niż trzysta nie wyciągnę. Byłam już w Oświacie - żadnych zastępstw w szkołach na razie nie przewidują. Baby przestały zachodzić w ciążę, czy jak? Zresztą jeszcze nie przesądzone na szczęście - może ktoś pójdzie do szpitala na operację, czy rozchoruje się na dłużej? Byle tylko nie umarł, bo wtedy biorą na jego miejsce nauczyciela z kwalifikacjami. Zresztą do września jeszcze mnóstwo czasu. Nie załatwiłam sobie kolonii na lato, bo miałyśmy z Aśką jechać do jej rodziny. Zgłosiłam się do pielena gdzieś pod miastem, ale powiedzieli, że miejskich panien nie chcą. Sama nie wiem, co robić. Do Aśki bez forsy nie pojedę, trzeba się więc z nią pogniewać, przecież nie mogę jej powiedzieć co i jak.

## **16 czerwiec**

Matka jeszcze raz poszła do ojca, tym razem jednak zabrała ze sobą adwokata. Ojciec podobno musi jeszcze płacić na mnie, dopóki nie skończę 18 lat, niezależnie od tego, czy się uczę, czy nie. Ponieważ kończę je w październiku, powinien jeszcze mi płacić przez lipiec, sierpień i wrzesień.

Poszli i nic nie wskórali. Stary powiedział im, że mogą iść do sądu, jak chcą się kłócić o te głupie trzy miesiące, ale nic to im nie da, bo rozprawa tak szybko się nie

odbędzie, więc lepiej z nim po dobroci. No i oświadczył, że jeżeli tylko matka podpisze mu zgodę na rozwód, to natychmiast zaczyna płacić nie tylko na mnie o pięćset złotych więcej, ale i da jej cały tysiąc, w przeciwnym wypadku może iść do pracy i sobie zarobić. Matka oczywiście zaczęła rozpaczać, że nigdy w życiu nie pracowała i teraz też nie będzie, bo zdrowie straciła dla niego i dzieci, a rozwodu nie da, bo nie będzie jakiejś lafiryndzie ułatwiać życia. Potem podobno poszli do jakiegoś sędziego, który, jak powiedział adwokat, oświadczył, że bezczelnością z mojej strony jest domagać się utrzymania od ojca. Dosłownie powiedział ponoć, że tylko wyrodna córka może sobie na koszt rodziny studiować, zamiast wziąć się do jakiejś pracy, kiedy matka przymiera głodem. Nie wiem, czy sędzia mógł tak powiedzieć do adwokata matki, ale jeśli nawet, to jest strasznie niesprawiedliwe! Ja wcale nie oczekuję na to, że mi ktoś coś da, robię co mogę, żeby zarobić, ale czy to takie dziwne, że chcę się uczyć o różnych wspaniałych rzeczach, które mają sens? Jeśli przestanę, ugrzęznę jak matka i wszyscy dookoła - tylko forsa i żarcie i co wypada, a co nie. Tymczasem już w zeszłym roku dziekan odmówił mi zgody na pracę etatową, bo średnią miałam niższą niż cztery. Ponadto nie mam jeszcze osiemnastu lat i dowodu osobistego, tylko w Oświacie przymknęli jakoś na to oczy, bo byli potrzebowni no i dyrzio z piątki, który tam teraz rządzi, dobrze mnie znał. Nawet w tej fabryce od deseczek musiałam złożyć oświadczenie, że skończyłam osiemnaście lat, a to przecież tylko prace dorywcze! Na razie mogę więc brać tylko coś chwilowego, a i to z możliwościami różnie bywa. Pewnie, czasem trochę się buntuję, że matka tylko czeka na moje pieniądze, zamiast samej zakręcić się za jakąś robotą, nie wszystkie są przecież tak uciążliwe, żeby człowiek, nawet schorowany, nie mógł ich wykonywać. Ale każde napomknięcie o tym, to straszna awantura, a matka potrafi być nieobliczalna.

Teraz też, przyszła z adwokatem, tak wściekła, że wszystko się na mnie skupiło. Na koniec całej awantury oświadczyła, że tylko do końca miesiąca będzie mi dawała jeść, a potem muszę sama o siebie się martwić, a i tak powinnam być jej wdzięczna, że nie każe mi płacić za mieszkanie.

Wtedy włączył się adwokat i powiedział, że ma dla mnie pracę, ale od razu wiedziałam, że to jakaś ciemna sprawa. Próbowałam go popytać co i jak, ale nic bliższego nie chciał mi powiedzieć, poza tym, że praca i mieszkanie są w Łodzi i jeśli reflektuję, to mam być na dworcu z rzeczami jutro o dwunastej piętnaście. Kiedy

wyszedł, powiedziałam matce, że nie pojedę na ten dworzec, bo nie mam zamiaru tłuc się nie wiadomo gdzie, do kogo i po co; zaczęła więc na mnie krzyczeć, a kiedy powiedziałam, że jest albo naiwna albo rajfura, wściekła się tak, że aż rozbiła o ścianę kryształową popielniczkę. Właściwie, to dobrze się stało, że była aż tak zła, bo celowała we mnie, ale z tej złości ręce jej się trzęsły i popielniczka tylko przeleciała obok mojej głowy. Cały czas wrzeszczała, że ludzie chcą mi pomóc, a ja jestem harda i wydziwiam, matki nie szanuję, w ojca łajdaka się wdałam i dalej w tym stylu. Z tego wszystkiego nie dała mi już kolacji, zamknęła spiżarkę na klucz i powiedziała, że była zbyt dobra dla mnie, a ponieważ tego nie doceniłam, już od jutra muszę się o siebie martwić sama.

## 17 czerwiec

Matce do rana nie przeszło. Cały dzień nic nie jadłam. Wieczorem poszłam do Baški i siedziałam tak długo, aż przyszła pora kolacji i musiała mnie zaprosić. Zjadłam skromnie, tylko dwa kawałeczki bułki z masłem i serem, bo nie chciałam, żeby się czegoś domyśliła. Najgorzej było wtedy, gdy jej mama namawiała mnie, abym jeszcze zjadła, a ja musiałam się powstrzymać. I tak wystarczająco głupio mi było, że się wprosiłam na kolację.

## 18 czerwiec

Rano byłam u pani B, kierowniczkii szkoły, w której miałam kiedyś trochę godzin na zastępstwach i która swego czasu proponowała mi wyjazd na kolonie. Niestety, już za późno, dobrała sobie komplet. Posłała mnie jednak do swojej znajomej, która była kierownikiem akcji socjalnej w jakiejś fabryce. Wolałabym kolonie, ale trudno. Ta młodzież to jedna grupa chłopców i jedna (moja) - dziewczyn z czegoś, co się nazywa *rodziny zagrożone*. Swoją drogą tylko zdecydowany kretyń mógł wymyślić, żeby takie dzieciaki i w wakacje musiały się dusić w swoim własnym sosie! Ponieważ u pani B miałam przez trzy miesiące klasę *przerośniętych* i jakoś sobie z nimi dawałam radę, uważała, że tym razem też mi pójdzie, mimo że niektóre wychowanki są w moim wieku. Zresztą płacą tam dwa razy więcej niż na normalnych koloniach, a to się też liczy. Bałam się jednak, ale nie miałam innego wyjścia, więc podpisałam umowę. Mam pracę na miesiąc, a później się zobaczy, na razie jednak nie miałam grosza przy duszy i byłam głodna.

Poszłam przejść się trochę po parku i usiadłam na ławce. Słoneczko mile grzało, ale byłam taka słaba, że nie miałam siły ani nigdzie iść, ani nawet nie chciało mi się myśleć, co zrobić do pierwszego, do wyjazdu. Siedziałam sobie na tej ławce, a obok mnie mamusia wpychała krzykliwemu bachorowi do buzi bułkę z kiełbasą. Dzieciak grymasił, nie chciał jeść, ale w końcu, gdy mu zagroziła, że zabierze samochodzik, którym się bawił, wziął tę bułkę. Matka zagadała się z kimś i bachor zobaczywszy, że nikt nie patrzy, cisnął bułkę w krzaki. Och, jak długo to trwało, zanim nie zebrali się i nie poszli sobie. Wyciągnęłam oczywiście bułkę z krzaków i zjadłam. Od razu zachciało mi się na nowo żyć.

## 19 czerwiec

Spałam do południa. Po południu nie wstałam z łóżka, tylko czytałam książki. Matka zapomniała schować do spiżarki garnek ze smalcem, więc nałożyłam sobie trochę w papierek. Niestety, sam smalec nie daje się jeść bez chleba, wyjadłam więc tylko trochę skwarek.

## 20 czerwiec

Zdenerwowałam się i wyważyłam drzwi do spiżarki. Niestety, niewiele tam było: trochę marchwi, jakiś dżem i smalec oraz kasza. Nie było chleba, więc wstawiłam garnek z kaszą, ale zanim się ugotowała, wróciła matka od sąsiadki. Zrobiła się straszna awantura i matka nawymyślała mi od złodziejek. Oczywiście miała rację. Cudza własność jest święta. Na szczęście tak się zapaliła do gadania, że zdążyłam zjeść tę niedogotowaną kaszę. Położyłam się do łóżka, bo zaczął mnie boleć brzuch. Przez ten czas matka wszystkie swoje zapasy wyniosła do sąsiadki. Powiedziała mi wieczorem: *dziecko, które okrada własną, schorowaną matkę, przestaje być dzieckiem. Nie jesteś już moją córką! Szukaj sobie mieszkania!* Była przy tym sąsiadka (to chyba od czasu rozgrywek z ojcem matka nauczyła się do każdej prowadzonej przez siebie *zasadniczej rozmowy* ciągnąć jakiegoś świadka), która też nie wytrzymała i zaczęła prawić mi morały. Obie doszły do wniosku, że zgniję w kryminale, albo wejdę na złą drogę. Przyszły do mnie do pokoju i obydwie gadały. Nie miałam siły z nimi rozmawiać, bo ciągle bolał mnie brzuch i miałam biegunkę. Co wróciłam z ubikacji, to one dalej swoje. Nie wiem już, co mnie bardziej zmordowało - one czy żołądek. Na szczęście matce przechodzą takie rzeczy po jakimś czasie - trzeba tylko swoje odczekać.

## 21 czerwiec

Żołądek, jak na razie trochę się uspokoił, ale leżałam cały dzień w łóżku. Zrobiłam sobie laleczkę - pacynkę z żarówki oklejonej skrawkami papieru. Włosy miała ze sznurka, sukienkę zrobiłam ze skrawków płótna w niemiecką kratę. Mam już

prezent dla Baški na imieniny. Zjadłam cały smalec z papierka, jakoś dał się zjeść, ale znowu dostałam biegunki.

## **27 czerwiec**

Poszłam rano do Baški i zaniiosłam jej laleczkę. Powiedziałam, że wyjeżdżam i nie będę na jej imieninach. Spytała czemu jestem taka blada, więc powiedziałam jej, że choruję na żołądek, mam biegunkę i w ogóle. Na to Baška: wiesz, matce jeszcze zostało trochę koniaku, który ojciec przywiózł z Francji, na pewno dobrze ci zrobi. Poszłyśmy do łazienki, bo rodzice Baški zawsze tam chowali alkohol, myśląc, że córka go wtedy nie znajdzie. Baška naląła mi spory kieliszek i łyknęłam. O Boże, to było coś potwornego! Baška nie wiedziała, że koniak już wypili i nalali tam wody kolońskiej, czy innego pachnącego świństwa. A może to była pułapka na Baškę, która czasem ukradkiem lubi sobie wypić? Nie wiem. Cały czas wydaje mi się, że wstrętnie śmierdzą tymi perfumami. Ohyda! Wszystko ma jednak swoje dobre strony, odechciało mi się zupełnie jeść. Wróciłam od Baški i położyłam się spać.



### 3 lipiec

Matka wystawiła moją walizkę za drzwi. Stała na schodach cały dzień, dobrze, że nikt nie ukradł. Miałam następny zgryz, co ze sobą zrobić przez te kilka dni od czasu wyjazdu, ale pomogła mi babcia, matka ojca. Poszłam do niej pod wieczór. Chyba z godzinę stałam pod drzwiami bojąc się wejść. Stosunki między nami zerwane zostały dwa lata temu i od tego czasu nie byłam u niej. Nastąpiło to wtedy, gdy dziadek dowiedział się, że zapisałam się do ZMP. Zwołał wówczas rodzinną naradę (szczęściem rodzina była nieliczna: dwóch braci dziadka z żonami - obaj bezdzietni, siostra babci, mój ojciec i jego brat z synem - ostatnią latoroślą rodu). Matka nie uczestniczyła w tej naradzie, pewnie dlatego, że już wtedy ojciec nie mieszkał z nami, więc zdaniem dziadka matka nie należała do rodziny. Dziadek wyciągnął z biurka arkusz z drzewem genealogicznym naszego rodu, który ponoć był kiedyś moźny i miał liczne majątki na Wschodzie, dopóki nie zniszczyła ich wstrętna, bolszewicka rewolucja. Z tych czasów zostało nam tylko historyczne nazwisko, które ja, jako dziewczyna, i tak wcześniej czy później miałam utracić. Dziadek przypomniał zebrany historię naszego rodu, udział naszych przodków w Konfederacji Barskiej i innych przedsięwzięciach, w podręcznikach szkolnych raczej omijanych. Owszem, czytało się tam czasem nasze nazwisko, ale z nieodłącznym dodatkiem :*skrajnie reakcyjny*. Przedstawiwszy krótki zarys historyczny dziadek wstał, podpierając się dla większego efektu laską, której na co dzień nie używał, polecił wszystkim też powstać i powiedział:

- W naszej rodzinie, jak w każdej zresztą, popełniano błędy, a nawet zbrodnie. Mieliśmy w niej banitów, wyklętych przez króla lub Kościół, ludzi skłóconych z otoczeniem, wielkich przywódców i takich, którzy niczym trwałym się nie zapisali. Historia była świadkiem wielu wzlotów i upadków naszej rodziny. Nigdy jednak, powtarzam, n i g d y - tu palec dziadka zaczął dziwnie drgać w splamionym kurzem promieniu słońca - nie zhańbiła się służbą żadnemu reżimowi. Ty byłaś pierwsza. Na szczęście jesteś kobietą, wyjdiesz za mąż i zniknie ta plama z naszego nazwiska. Powołując więc tu zebranych i Boga na świadka, jako głowa rodziny, oznajmiam, że przestajesz do niej należeć od dnia dzisiejszego. W naszym drzewie genealogicznym w miejsce wpisu: *Celina ur. 20 października 1942 r.* zostanie wklejona pusta ramka.

Chciało mi się śmiać, ale ponieważ wszyscy przyjęli to z ogromną powagą, czułam się mocno przerażona, raczej tym, że nie bardzo rozumiem rzeczy dla innych dziwnie oczywiste. Moja rodzina, także ze strony ojca nie miała zwyczaju celebrowania rodzinnych okazji; żyła jak wszyscy dookoła, wzdychając niekiedy do *lepszyc czasów sprzed wojny*, jednak bez zacietrzewienia i przesadnej idealizacji przeszłości. Uważałam ich wszystkich za nieco nudnych ale rozsądnych ludzi. Dziadek na codzień nie miał nic z patriarchy, a zjazd rodzinny był pierwszym, w którym uczestniczyłam. Do tej pory zdawało mi się, że wszystkie szopki z arystokracją wystarczająco zostały ośmieszone, że nawet kpienie z nich nie nosi cech oryginalności. Świat wokół tak bardzo się przecież zmienił! Tymczasem mogą być ludzie mądrzy, myślący, a traktują te głupstwa serio, co gorzej, nawet nie zrodzi się w nich wątpliwość, że ktoś mógłby myśleć inaczej!

Na znak ojca podeszłam do dziadka i pocałowałam go w rękę. Zupełny idiotyzm! Jakie to śmieszne całować mężczyznę w rękę, a jakie smutne dziękować w ten sposób za okazaną dezaprobatę. Wszystko to w sumie jest całkiem niezrozumiałe i dlatego przerażające.

Wiedziałam od ojca, że nie byłam pierwszą wyklętą w naszej rodzinie. Przede mną był brat ojca pradziadka, który pejczem zabił pewną chłopkę, bo domagała się zabezpieczenia dla poczętego przez niego dziecka. Został wyklęty równie uroczyście, z całym ceremoniałem ucałował seniora rodu w rękę i poszedł do jakiegoś powstania, po czym oczywiście bohatersko zginął. Mimo to, do dziś ma na drzewie genealogicznym ramkę, taką właśnie, jaką ja teraz będę miała do końca życia swojego, moich dzieci i dzieci moich dzieci. Przerażająca ciągłość czasu! Jemu to przytrafiło się za poniżanie ludu, mnie za bratanie się z nim. I niech mi ktoś powie, że dobro jest zawsze jednakie i tylko zło ma różne oblicza!

Ceremonia wyrzucenia z rodziny zakończyła się uroczystym obiadem, w czasie którego babcia wniosła na stół półmisek przeznaczonych na taką okazję tradycją rodzinną *czarnych klusek*. Było to coś w rodzaju kopytek gotowanych w wywarze ziołowym, nadającym im ciemny kolor i silną gorycz, tak że wszyscy krzywili się jedząc to obrzydlistwo, bo tradycja nakazywała wyklętemu spożyć z rodziną ostatni posiłek w postaci tych *czarnych klusek*.

Babcia zebrała talerze i wyniosła je do kuchni. Po chwili wróciła niosąc na tacy jeden kieliszek napelniony czerwonym winem. Wszyscy wstali. Dziadek wziął od

babci tacę z tym kieliszkiem (u dziadków nie pija się nigdy żadnego alkoholu, więc musieli specjalnie na tę okazję, po raz pierwszy od lat, kupić butelkę, a jak ich znam, na pewno resztę babcia wylała do zlewu) i podszedł do mnie. Kiedy już trzymałam w ręku smukłą nóżkę, dziadek objął mnie i pocałował w czoło na znak, że żegnając we mnie członka rodziny nie żywi do mnie urazy osobistej, po czym cofnął się o dwa kroki. Wszyscy stali teraz półkolem czekając, aż wypiję wino, mające symbolizować szansę, którą mi pozostawiono - zmycia hańby krwią.

Myślałam cały czas o tym, co by zrobili, gdybym zaczęła się śmiać albo odstawiła kieliszek nie wypijając wina, ale poczułam nagle, że właściwie nie ma w tym nic śmiesznego, przeciwnie, ceremonia ta jest równie przerażająca, jak wszystkie przejawy nietolerancji i zawziętości, przedstawienia odgrywane w myśl idei, jaka by nie była. Dotyczy to także tych z przeciwnej strony, głoszących równość wszystkich ludzi, jednakowo przekonanych o swojej racji jak ci, co głoszą słuszność poglądów krańcowo odmiennych. Pragnienie równości jest tak samo oczywiste dla każdego człowieka, jak pragnienie wolności. Dlaczego więc wszyscy dookoła podzielili się hasłami, które nawzajem nie wykluczają się? Jak może ktoś rozsądny wierzyć, że zdobędzie poparcie nawołując do nierówności? Czy niemożliwe jest, aby obie strony miały rację? Swoje racje - powie ktoś - to tak. A mnie nie chodzi o *swoje racje*, tylko o jedną, jedyną rację, najważniejszą, tę która jest wspólna wszystkim, gdzie to, co nazywamy *swoimi racjami* jest tylko przymiarką do słuszności, próbą podciągnięcia swoich przekonań pod obszar prawdy przez nią wyznaczony. Oznaczałoby to, że hasła zawsze są słuszne, jakie by nie były.

Atmosfera tego cyrku ogłupiła mnie trochę, więc wypiałam wino, a nawet, o ile pamiętam, uroniłam parę łez. Ale za bardzo zapuściłam się w przeszłość.

Stałam kilka dni temu pod drzwiami mieszkania dziadka i miałam nadzieję, że babcia coś mi poradzi, pomoże w nieznanym na razie sposób. Właściwie nieśmiało spodziewałam się, że może porozmawia z ojcem i przekona go, żeby pozwolił mi zatrzymać się u niego przez te parę dni, do wyjazdu na obóz.

Otworzyła mi babcia. Zobaczyła mnie z walizką, ale, mimo że nie widziałyśmy się dwa lata, nie powiedziała nic. Schowała walizkę zaraz na korytarzu do szafy, jak domyśliłam się po to, żeby dziadek o niczym nie wiedział. Dla nas obu było to oczywiste, że nie mam co ze sobą zrobić i że u dziadków nie mogę nocować, więc nie rozmawiałyśmy wcale, jednak to porozumienie bez słów pokrzepiło mnie trochę.

Podeszłam do dziadka i pocałowałam go w rękę, na co nie zareagował, patrząc nie na mnie, ale przeze mnie, ale mimo to ręki nie cofnął.

Babcia poczęstowała mnie herbatą i bułką. Zjadłam i wypiałam w milczeniu, po czym na dyskretny znak babci ucałowałam znowu rękę dziadka na pożegnanie. Tym razem siedział przy pustym biurku, odwrócony do mnie plecami, nie widział więc palca babci na ustach. Babcia powiedziała, że idzie do piwnicy po kartofle i wyszliśmy razem. Po drodze babcia wyjęła z szafy moją walizkę, dwa koce i zaprowadziła mnie do piwnicy. Tam rozstawiłam sobie starą polówkę i tak przez tydzień w tej piwnicy nocami drzemałam. Trudno było spać. Nie miałam świecy, a bałam się trochę, bo wokół hałasowały myszy. Ale co było robić! Dziadek punktualnie o szóstej rano wychodził na spacer do parku, potem szedł do zoo, a potem do biblioteki, gdzie pisał swoją powieść z życia podupadłej szlachty. Z biblioteki wracał dopiero na obiad, tak więc między szóstą a dwunastą mogłam trochę się przespać w mieszkaniu. W południe wychodziłam na miasto i wracałam już prosto do piwnicy. Babcia oprócz śniadania dała mi jeszcze sto złotych, więc nie byłam już taka głodna, choć musiałam gospodarzyć pieniędzmi oszczędnie, żeby starczyło do wyjazdu. Kupowałam sobie w sklepie ćwiartkę chleba i ogórek kiszony, a w budce zapałki. Na ogół w ciągu nocy spalałam całe pudełko, płosząc w ten sposób myszy.

Na spotkanie wyjazdowe stawiałam się na czas. Poprzedniego dnia wypłacili mi pensję (całe tysiąc dwieście po potrąceniu wyżywienia) i matka dowiedziała się o tym jakimś swoim sposobem. Możliwe zresztą, że przysłali mi do domu pismo o terminie wyjazdu i stąd wiedziała, gdzie jądę i kiedy może mnie spotkać.

Gdy zobaczyłam ją na placu, wśród autokarów, pomyślałam przez chwilę, że zaczęła żałować swojego postępowania i przyszła mnie odprowadzić i pożegnać. Ale matka miała nadal minę wyniosłą i nieprzejednaną.

- Masz więc pieniądze - powiedziała. - Daj mi tyle, co zwykle, to możesz po obozie wrócić.

- Nie wiem jeszcze, czy wrócę - powiedziałam, bo chciałam ją trochę rozdrażnić, chociaż wiedziałam, że wrócę, bo dokąd miałam w końcu iść.

- Możesz mi nie dać - odrzekła - ale z czego będę wtedy żyła?

Wydała mi się teraz zupełnie inna, niż przedtem. Mimo, że obiecywałam sobie, że będę twarda, jak wszyscy dookoła mnie, włącznie z moimi rodzicami, wyjęłam tysiąc złotych i dałam matce. Popłakała się wtedy trochę i pomyślałam, że musiało to

być dla niej ciężkim przeżyciem przyjść i prosić o pieniądze córkę, którą wyrzuciło się z domu. Pocałowałyśmy się na pożegnanie, pocieszyłam mamę, że jakoś to będzie i rozstałyśmy się pogodzone.

## **12 lipca**

Jest nas tylko kilkoro, jak w powieści kryminalnej. Nie chcę jednak wiedzieć kto zabił, po raz pierwszy w życiu nie chcę wiedzieć nic poza tym czego na razie jestem pewna - że to nie byłam ja. Nie wiem jak do tego doszło, kiedy i gdzie wylazł na nich ten człowiek, typowy niemiecki turysta, dobroduszny grubas w sznurowanych rzemieniu, skórzanych portkach na opasłym tyłku. Widziałam go, jak drapał się po przeciwległym zboczu, zbierając kamienie lub rośliny - tego z dala nie dało się dojrzeć - stukając o kamienie jarmarczną, góralską ciupagą, tak jasną, że żółć jej lakieru odbijała promienie słońca. Przypuszczam, że na tym jasnym drewnie znajdowały się szarotki wypalone rozgrzanym drutem, metalowe blaszki z Matką Boską Częstochowską i Morskie Oko; śmieszna, dziecinna zabawka, w sam raz do fotografii z Giewontem w tle, nie na miejscu u dorosłego człowieka.

Czym naraził się tym dzieciakom i tym dorosłym, tak wesołym z pozoru i rozbawionym, że chyba tylko ja pod ich rozbuchaną wesołością wyczułam tkwiącą głęboko potrzebę odniesienia zwycięstwa za wszelką cenę? To ja byłam ich przeciwnikiem i na mnie powinno się skończyć, inni powinni być bezpieczni. W porządku. Odnieśli zwycięstwo nade mną i to powinno im wystarczyć. Czyżby sukces zawsze prowokował do dalszej walki, a więc poddanie się było błędem nie tylko ze względu na siebie lecz i na innych. Czy to, że człowiek ten budził we mnie niechęć, jest moją winą, czy jest nią także i to, że nie mogę go żałować i współczuć jego losowi, a po prostu nie chcę wiedzieć nic? Nie wiem też, czemu nienawidzę ludzi z rudymi wąsami i brodami, czemu budzą we mnie taką odrazę. To niemoralne i głupie, uprzedzać się do kogoś tylko ze względu na jego wygląd.

Mimo tego, a może trochę i wskutek tego siedzę teraz na twardym krześle. Przede mną, na rozbabranym łóżku leży kierownik. Chłęptał przed chwilą z talerza zupę pomidorową z ryżem, zapijając ją wódką z butelki, aż wreszcie żarcie i picie wyrzygał na siebie i pościel, wypuszczając talerz z rąk. Butelkę odebrałam mu sama. Wypiłam pół szklanki wódki smakującej przypaloną oponą i świat wokół mnie zaczął przyjemnie wirować; powoli, spokojnie, tak nieznacznie, że mam jeszcze czas, aby

wirowanie to zatrzymać. Patrząc na tego obmierzłego typa i zastanawiam się, czy to on zadał ten cios nożem, jeden spośród dwóch, które przyniosły grubasowi śmierć. A może był tylko świadkiem pchnięć, a pocztówkowa składanka z Weimaru i plik obcych zdjęć znalazły się pod jego łóżkiem przypadkiem lub z czyjejś sprytniej i przewrotnej zapobiegliwości?

Kierownik chrapie parszkając bąbelkami śliny, rzygowiny śmierdzą kwaśno, a ja czuję nad nim swoją władzę pochodzącą z odrazy. Oblepiająca kołdrę masa z klajstrowatymi ziarnkami ryżu na rudej brodzie - skąd ja to znam? Zresztą nieważne. Nie jestem głupia, wiem, że odraza daje mi władzę, ona pozwala patrzeć bez zmrużenia oka, muszę więc ją znosić i oswajać się na przyszłość. Siedzę więc na twardym krześle, słucham jak chrapie i napawam się swoim spokojem. Nikt już nie powie, że jestem naiwną panienką. Czekam, kiedy przestanie chrapać. Wtedy obudzę go podając napełnioną szklankę i będę zadawała pytania, mimo że nie wiem i nie chcę wiedzieć. Muszę jednak bawić się w to śledztwo, żeby nie oszaleć. Ktoś, kiedyś i gdzieś może mi wmówić, że to była moja wina, ja sama mogę sobie to wmówić i dlatego nie wolno mi do takiej nieostrożności dopuścić, trzeba wcześniej przeciwdziałać.

Jest nas więc tylko kilkoro. Kierownik, rudy, niechlujny grubas, oczy ma wąziutkie jak szparki, górne powieki spuchnięte, dolne obwisłe i czerwone. Pasek od spodni nie podtrzymuje monstrualnego brzucha, rozpinająca się na nim koszula z plamami potu pod pachami ukazuje kępki nijakich w kolorze włosów. Obrzydlistwo.

Wychowawców jest dwoje - ja i Krzysztof. Krzysztof jest studentem prawa, wysoki, bardzo przystojny, poważny i opanowany, ale jest w nim coś nieprzyjemnego. Moja matka o takich ludziach jak on mówi: *cynik*. Wprawdzie określenie to jest śmiesznie staroświeckie i nie wiem, czy Krzysztof ma wspólne cechy z klasycznymi cynikami, ale na pewno należy do tej kategorii ludzi, których moja mama ma na myśli używając tego określenia.

Ja swojej nazwy dla nich jeszcze nie wymyśliłam, choć wiem, że w skład substancji takich ludzi wchodzi pewność siebie i swego rodzaju hermetyczność. Można do nich mówić, a oni i tak nie rozumieją więcej, niż sobie dozwolili. Wątpliwe zresztą, czy w ogóle rozumieją coś innego, niż własne założenia. Mają tam, w swojej głowie poukładane zagadnienia, uczucia i fakty, hierarchie celów własnych, ukrywane skrzętnie w niejasnym podejrzeniu, że można by odmówić im akceptacji, a

cały świat zewnętrzny cedzą przez sito. Plankton przepływa, rybki pozostają w paszczęce. Może byliby o wiele mniej groźni, gdyby tylko można było zgadnąć, jakie są te ich rybki! To pewne, że wszystkie rzeczy dla mnie ważne, na ogół bywają ich planktonem.

Intendentka - zasuszona baba, wargi ma stale zaciśnięte, nawet gdy mówi, układa je tak, jakby ten skrawek odrobinę ciemniejszego ciała był czymś drożnym, co należy ukryć. Włosy uczesane ma z przedziałkiem, zwinięte w mały koczek i we wszystkim jest cholernie pedantyczna. Wygląda na to, że ona będzie tu rządzić.

Krystyna - higienistka - to objawienie. Gdy zobaczyłam ją, w pierwszej chwili doznałam olśnienia. Była absolutnie piękna; takie twarze widzi się raz na parę lat, nawet z dala, na ulicy, a cóż dopiero z bliska! Oprócz tej, klasycznej nieomal piękności ma twarz kobiety niesamowicie mądrej i wrażliwej. Niestety, jest straszną idiotką, tak głupich jak ona, też na szczęście niewiele się spotyka. Pomyśleć, że ona, pielęgniarka z zawodu, pierwszy dzień po przyjeździe postanowiła opalić się w przyspieszonym tempie i wysmarowała się naftą! Teraz leży już trzeci dzień, naga pod prześcieradłem, czerwona jak rak, szczękając zębami z gorączki i jęcząc z bólu, obłazi ze skóry, jak pomidor wsadzony do gorącej wody. Mimo to nadal jest piękna. Obok Krystyny stoi butelka wódki, z której pociąga co jakiś czas tak, że nie wiadomo w końcu, czy jest chora, czy pijana. Obozowicze włączają i wyłączają z gabinetu, biorą leki jakie chcą; jeden z chłopców zaglądał nawet pod prześcieradło, gdy domyślił się, że higienistkę warto obejrzyć. To cudo tylko trzy razy przemówiło w mojej obecności, nie nadaje się to jednak do powtórzenia z powodu swej wulgarności. Krystyna jest wychowanicą Intendentki, choć trudno sobie wyobrazić większy kontrast, niż między nimi.

Poza nimi jest kierowca, o którym trudno coś powiedzieć i dwie kucharki.

Wszystko to razem nie bardzo mi się podoba. W tych ludziach tkwi coś, co mnie przeraża, choć nie są nawzajem do siebie podobni i między sobą chyba się nie znają. Mimo to od pierwszego dnia ich wzajemne stosunki widać jak na dłoni, tak są wyraziste, że najbardziej roztargniony zauważyłby, że Intendentka nie znosi Krzysztofa, że Krzysztof zaleca się do Krystyny, a w wolnych chwilach łązi wszędzie z kierowcą, który z kolei ma konszachty z chłopakami.

Najwięcej wiem o Krzysztofie; poznałam go jeszcze przed wyjazdem. Niestety, to co wiem, ani to, czego domyślałam się, to nic dobrego.

Organizatorzy kazali nam przed wyjazdem przygotować biblioteczkę, płyty, gry i tym podobne. Spotkaliśmy się wtedy po raz pierwszy i Krzysztof był elokwentny, niesłychanie uprzejmy, ale jednocześnie jakby ukradkiem obserwujący efekty swojego zachowania. Dziwne to było, w końcu on student, ja studentka; nie ma zwyczaju tak się ceregielić w naszym środowisku. Odnosiłam dziwne wrażenie, że jestem potrzebna do jemu tylko wiadomych celów i nie wiem czemu, ale powody te wydawały mi się w ostatecznym rozrachunku skierowane przeciwko mnie. Może to przesada, ale nie lubię chłodnych ludzi zachowujących się przesadnie wylewnie, jestem po prostu na nich uczulona.

Zaczęłam dokładnie słuchać tego, co mówił Krzysztof. To, co usłyszałam, też mi się nie podobało, choć nie mówił nic nadzwyczajnie znaczącego, ot, takie sobie gadanie o współpracy, trzymaniu sztamy według schematu: *my młodzi studenci, kierownik tępawy jakiś, jak nie będziemy się trzymać razem, to nas usadzą*. Może i odpowiadał w ten sposób na przemowę, jaką wygłosiła do nas Intendentka, jeszcze nie jako Intendentka rzecz jasna, ale jako przedstawiciel Organizatora, stwierdzając apodyktycznym tonem, że młodzież trzeba wziąć ostro w garść, a my jesteśmy bardzo młodzi, tak więc z punktu musimy wyrobić sobie autorytet i że jeżeli tego nie zrobimy, nie będziemy mogli wyegzekwować jakiegokolwiek dyscypliny. Im dalej ciągnęła swoje przemówienie, tym brzmiało to gorzej. Przypominała nam o odpowiedzialności, jaka na nas spoczywa w związku z tym, że młodzież ta miała już do czynienia z przestępstwami i gdyby coś zdarzyło się w czasie obozu, to wina zawsze spadnie na nas. Było niezbyt przyjemnie pomyśleć, że kilkudziesięciu młodych ludzi może wymyślić Bóg wie co, a tylko czworo oczu ma im przeszkodzić we wszystkich niecnym zamysłach. Wysłuchawszy takiego przemówienia, sądziłam, że Krzysztof spróbuje pogadać o tym, jak sobie wyobraża naszą pracę (ja przecież myślałam cały czas, w dzień i w nocy, co zrobić, żeby mieć autorytet nie robiąc jednocześnie z obozu więzienia), a on tymczasem o sztamie, wzajemnym donoszeniu sobie, co się zdarzyło; coś nie tak! Najgorzej, że chyba Intendentka miała rację, choć mnie jej argumenty tak samo nie podobały się, jak zabiegi Krzysztofa o zawarcie porozumienia.

Tuż przed wyjazdem wybuchła bomba. Mieliśmy do pakowania wiele rzeczy, a Krzysztof nie zjawił się w umówionym dniu. Intendentka wzięła jego adres z podania o pracę i zadzwoniła pod podany nam numer telefonu. Był to jeden z akademików, a portierka powiedziała jej, że od czterech lat, odkąd poszedł do więzienia, taki człowiek



tu nie mieszka. Intendentkę zatkało. Poszłam z nią do tej spółdzielni studenckiej, skąd polecono Krzysztofa. Gość, który nas przyjął, o niczym nie wiedział, nie znał jego adresu, wydziału, na którym studiował i w ogóle nic o nim nie wiedział. Intendentka chyba mu uwierzyła, ale ja nie; sama brałam prace ze spółdzielni i wiem, jakie są formalności, ale nie moja sprawa, zguba znalazła się w parę dni później. Opowiedział jakąś bajeczkę dla wyjaśnienia rewelacji na swój temat: podobno w więzieniu nigdy nie siedział, aresztowano go tylko za udział w jakiejś demonstracji studenckiej; było, przeminęło, a portierka się mści, bo do akademika późno wracał, a nie dawał pieniędzy za otwieranie drzwi, wszystko to nic poważnego. Oczywiście dalej studiuje, mieszka nadal w akademiku, wprawdzie na waleta, bo powtarza rok, ale wszyscy o tym doskonale wiedzą, nawet kierownik sam mu wstawił polówkę. Tylko ta jędra, portierka.

Przewodnicząca Rady Zakładowej, przyjaciółka pani B, powiedziała mi, że jest tym wszystkim zaniepokojona, ale że już za późno to wszystko sprawdzać i ewentualnie szukać kogoś innego, więc prosi mnie, jako znajomą jej przyjaciółki, że jeśliby działo się coś niedobrego, o zawiadomienie jej; natomiast tam, na miejscu mogę mieć pełne zaufanie do Intendentki, to mądra kobieta i uczciwa, choć może trochę szorstka, ale te kłopoty z wychowanicą...

Byłam przygotowana na nieprzyjemne wakacje w niedobranym zespole, ale to co się działo na obozie, przekroczyło moje najgorsze oczekiwania. Zaczęło się już w drodze.

Jechaliśmy autokarem wąską drogą, w poprzek której co kilkaset metrów przerzucono drewniane mostki nad głębokimi parowami z wijącą się zakolami rzeką. Taki widok budzi we mnie zawsze niezrozumiałą euforię, nie byłam więc zniecierpliwiona tym, że przed każdym mostkiem, jako że nośność ich była niewielka, trzeba było stanąć. Wszyscy wysiadali i przechodzili pieszo, potem przejeżdżał pusty autokar, z powrotem wsiadano i tak do następnego mostku. Oni byli jednak inni niż ja. Za którymś razem kilku chłopców zbuntowało się i odmówiło wyjścia. Przewodził im Kowboj - wysoki, szczupły chłopak o ostrych rysach twarzy, ubraniu i postaci wystudiowanej aż do szczegółów w jakimś spaghetti-westernie, a sekundowali mu dzielnie trzej adiutanci: Romek, Janek i Andrzej. Krzysztof naraził im się już na samym początku podróży; wziął z rąk Kowboja paczkę papierosów, którą ten akurat przekładał do kieszeni kurtki; spytał, czy może poczęstować się, po czym uzyskawszy

pozwolenie stwierdził, że ją konfiskuje. Rozumiem, że zabrania się palenia papierosów na obozie, ale przecież to nierealne; takich chłopaków można zmusić tylko do tego, żeby nie palili wobec wychowawców, do niczego więcej. Jest jeszcze coś innego. Zawsze wobec wychowanków powinno przestrzegać się uczciwości zasad gry; jeżeli chcemy konfiskować, nie wolno przedtem wymuszać poczęstunku. Trudno się więc dziwić, że chłopcy pragnęli odegrać się na Krzysztofie i zrobili to wówczas, gdy nie było jeszcze kierownika i regulaminów obozowych, a więc ich szanse bezkarnej draki były największe. Zakończyło się to, jak było do przewidzenia, choć nie do akceptacji; po szamotaninie, przepychankach i przetargach pan wychowawca dostał w ryj, a pan kierowca musiał podporządkować się tym, którzy uznali, że mają prawo tu rządzić.

Jeżeli jest możliwe utrzymanie w tych warunkach czyjegoś autorytetu, to niestety, nikt nam nie powiedział, jak to zrobić; nie było nawet kogo się spytać. Ja tam w każdym razie nie ustąpiłabym, kiedyś w końcu z tego autokaru musieliby wyjść. Na szczęście z dziewczynami do takich konfrontacji nie doszło, przynajmniej w tej sprawie były posłuszne, może bały się, że któryś z mostków zawali się. Byłam zadowolona, że uniknęłam starcia i przypisywałam to swoim pedagogicznym talentom, temu, że dziewczęta czuły moją stanowczość i spokój, jakby to decydowało o sukcesie, a nie ślepy przypadek. W którym miejscu popełniłam błąd? Dlaczego nie dostrzegłam, że od tamtego przejazdu przez mostki już nie Krzysztof nimi rządzi, ale oni nim, a pośrednio i wszystkimi innymi: kierownikiem, Intendentką, Krystyną? Także i mną, choć o tym nie wiedziałam. Kierownik całymi dniami zamknięty w swoim pokoju nie pokazywał się poza godzinami rannymi i wszyscy wiedzieli, że to alkoholik w ostatnim stadium i że wystarczy dopilnować, aby miał co pić, a nie będzie stwarzał problemów i nawet towarzystwo mu niepotrzebne. Mimo to Krystyna spędzała u niego całe dni, a Intendentka z godziny na godzinę była coraz bardziej wściekła, choć ta złość omijała Krystynę, a skupiała się na kierowcy i kucharce. Naiwna idiotka, sądziłam, że kierownik i Krystyna romansują ze sobą i że o to Intendentka jest wściekła, tymczasem Kryśka wyciągała kierownikowi alkohol, gdy zasnął i żeby macocha nie mogła go jej zabrać, wypijała go tam, u niego; nie zawsze była jednak w stanie potem wrócić do siebie o własnych siłach; Intendentka zaś bała się, że Krystynę rozszyfrują chłopcy i wykorzystają chwile jej nieprzytomności. Wołała więc z dwojga złego kierownika; otoczony pilnym nadzorem niewiele złego

byłby w stanie uczynić Krystynie. Więcej bała się tego, co mogłoby się stać, niż tego, co było.

Jeszcze tylko Krzysztof robił wrażenie mniej więcej normalnego w tym całym burdelu, przynajmniej nie wykazywał pociągu do wódki. Odrzuciłam więc na bok wszystkie moje uprzedzenia, zdawało mi się, że rozumiałam jego nawoływanie do trzymania sztamy, że świadczyły one o jego większej niż moja przenikliwości i chyba tu był początkiem moich błędów.

Trzeciego dnia pobytu wybraliśmy się na plażę. Był z nami kierowca furgonetki, który chciał umyć wóz przed wyjazdem do miasta. Krzysztof zaproponował, żeby wieczorem urządzić we czwórkę małe przyjęcie we własnym gronie, bowiem to, co się dzieje wokół nas zbyt jest ponure i należy trochę się rozweselić. Składka została już ustalona, o ile zgadzam się, mam wpłacić dwadzieścia złotych; kierowca jedzie po coś do miasta, to od razu przywiezie butelkę. Dałam te pieniądze, chyba nawet zadowolona; bo atmosfera obozu przygnębiała mnie; z rówieśnikami, Krzysztofem i Krystyną nie znalazłam wspólnego języka, kierowca był mi zupełnie obcy, może to właśnie jest okazja, aby przełamać między nami lody wynikłe, kto wie, czy nie tylko z moich uprzedzeń i nadmiernej podejrzliwości.

Myślałam, że pojedzie sam kierowca, no w ostateczności z Krzysztofem, tymczasem pojechali plażą kawałek dalej, zabrali Kowboja i jego trzech adiutantów oraz jeszcze dwie dziewczyny nie pytając mnie o zgodę. Nie pozwoliłabym dziewczynom jechać, ale nikt mnie o nic nie zapytał, ani Krzysztof, ani dziewczyny, a gdy zauważyłam, że pojechały, było już za późno; właśnie przejeżdżali w bród rzekę, w tym miejscu płytką i szeroko rozlaną. Jedna z dziewczyn wyskoczyła w biegu na środek strumienia, ale druga została.

Patrząc za samochodem i usiłując zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, zahaczyłam wzrokiem o przeciwległe wzgórze. Pomyślałam nagle, że nic tu nie znaczę, ani tu ani gdzie indziej, cokolwiek powiem czy zrobię, dla nikogo nie będzie istotne, grają w swoją własną grę; kto nie jest z nimi, ten jest przeciw nim. Nie ma co martwić się o koleżeństwo, będzie tylko pustym słowem wobec nieufności narosłej ze słowa na słowo, ze spojrzenia na spojrzenie. A za rzeką tak jest pięknie! Chojaczki przycupnięte wśród traw, z daleka tak gładkich, jak wystrzyganka w glansowanego papieru, nie skażonych żadnym swobodnie wybujałym zielskiem, wyglądającym niby trawnik równo przystrzyżony... Z bliska jednak ten trawnik nie był tak grzecznie

ugłaskany, jak się wydawał i ukrywał całe pola rydźów wśród trawy, od wielkich kapci rozpadających się wśród roju mrowiących się wewnątrz tłustych, białych robali, aż do maleńkich, maciupkich rydzuniów wielkości pieniążka. Godzinami można siedzieć i patrzeć na te rydze i liczyć im kręgi na grzbietach.

Co ja tu robię, zamiast być tam, wdrapywać się po trawiastym zboczach, zbierać do koszyka rydze, piec je potem na rozpalonej blasze kuchni tak, aby w środku pojawiła się wielka, przezroczysta kropla pachnącego soku? Zamiast mnie łązi tam ten obcy człowiek, zbiera moje rydze, ogląda moje kamienie, depcze moje trawy, odgarnia moje gałęzie. Jemu nie przyjdzie do głowy z radości ucałować grzyba.

*... Z górskiej serpentyny, na którymś tam kilometry, uprzednio zepchnąwszy samochód w dół, aż koziołkując, zatrzyma się na osypisku poniżej kilku pętli drogi, należy rozpocząć wspinaczkę po zboczach porośniętym suchą trawą, kępami jeżyn i małymi chojczkami (pod którymi rosły niegdyś rydze). Przedtem jednak, ukrywając się za stertą kamieni wyznaczających granice pastwiska, wtuliwszy policzek i palce w szorstką żwirowo-trawę, należy obserwować otoczenie bardzo uważnie, zwłaszcza zaś ludzi, mogących właśnie cię śledzić. Do tego, aby ktokolwiek odkrył drogę do jaskini nie wolno dopuścić za wszelką cenę. Na szczycie wzgórza można zatrzymać się, spojrzeć w dół na wijącą się drogę i zabudowania w dolinie położonej wsi. Z drugiej strony szczytu nie widać już ludzkich osiedli. Schodzący nisko, gęsty, ciemny, szpilkowy las wabi chłodem, pętnie bezpieczną, kryjącą zbiegów falą aż do szczytu następnego, wyższego wzgórza. Leżąc na suchej trawie wzgórza widzi się obłoki, nie czuje się chłodnego wiatru, przenikającego na wskroś, gdy się wstanie lub pomyśli o czymś innym niż jaskinia. Powietrze brzęczy jakąś muchą, słońce piecze odkryte ramiona i nogi; jest mi dobrze, bo za chwilę wstanę i ruszę w dalszą drogę, a już niewiele dzieli mnie od jaskini...*

Wrócili po dobrej godzinie. Samochód zamiast stanąć przy drodze, tam gdzie zwykle, wjechał w nadrzeczne krzaki i tam już został. Czekałam. Z daleka, od strony ośrodka, chwiejnym krokiem nadchodził kierownik. Zmierzał prosto w kierunku zarośli, gdzie zniknął samochód. Z góry schodził ten człowiek w skórzanych spodenkach, jakby ktoś wyznaczył taki jeden punkt, w którym wszyscy wcześniej czy później muszą się spotkać. Podeszłam więc i ja. Stali wszyscy, z wyjątkiem turysty, który znajdował się jeszcze zbyt daleko, na małej polance podając sobie z ust do ust butelkę. Pierwszy musiał dostać kierownik, ruchy miał bowiem już żywsze, oczy mu

błyszcząły. Ci, którzy pojechali do miasta, pewnie i tam wypili. W samochodzie leżała jedna z dziewczyn na wpół rozebrana. Nawet nie położyli jej na siedzeniach, tylko wprost na zaśmieconej, blaszanej podłodze tak, że widziałam plecy i goły tyłek utyłany w piachu, nogi z czarnymi smugami od smaru przecięte w połowie ud poszarpanymi koronkami majtek. Chłopcy mieli miny pełne wyzwania i rozbuchanej pewności siebie. Jeden z nich podszedł do samochodu, kopnął w plecy dziewczynę, aby przetoczyła się głębiej i zasunął z rozmachem drzwi. Kierownik chichotał, ale wyglądało, że niewiele rozumiał z tego, co się wokół działo. Podbiegłam do niego.

- Panie kierowniku, tak nie można, proszę coś zrobić! Ona ma nie więcej niż czternaście lat... Co powiemy jej rodzicom?

- Ee tam, dziecinada! Nikt jej nic złego nie zrobił, to są dobre chłopaki, nieprawdaż, honorowe. Wiedzą, co wolno wojewodzie, a co tobie smrodzie - pokazał palcem na najmłodszego, Romka: - No to chłopcy, siup, bo wódka się grzeje!

Podbiegłam do furgonetki szarpiąc się z drzwiami. Były już na wpół odsunięte, kiedy podszedł Krzysztof.

Między nami sztama, nieprawdaż? Zostaw ją w spokoju, wyśpi się to i przejdzie jej. Najgorzej zadawać się z gnojami, uchła się toto i zaraz spada na ziemię, a takim różnym paniąkom wydaje się, że w tym lokalu działo się Bóg wie co. Widać to po tobie, że życia nie znasz, choć już swoje lata masz. Ale nie martw się, są baby do kochania i są do dmuchania, taka jest kolej rzeczy, nieprawdaż panie kierowniku? Zostaw tę dziwkę i wypij sobie z nami.

Wbrew sposobowi, w jaki mówił, Krzysztof nie był ani trochę pijany. Oczy mu błyszcząły podnieceniem, głos miał bełkotliwy, ale tylko wtedy, gdy go podnosił. Do mnie mówił ostrym szeptem, tak trzeźwym, jakby nigdy nie wypił ani kropelki.

- Zostaw ją teraz, co się stało, już się nie odstanie! Nie chcesz chyba oberwać? A szykują się na ciebie. Wszyscy wiedzą, że jesteś tu po to, aby nas obserwować i donosić. Jakby co do czego, ani jej nie obronisz, ani siebie nie ustrzeżesz.

Odepchnęłam go i odsunęłam drzwi. Usiłowałam posadzić dziewczynę, ale leciała mi przez ręce.

- Grażyna, ocknij się, musimy iść do domu. Wysł się troszkę! Trzeba się umyć; zobacz jaka jesteś wymazana!

- Ostatni raz ci mówię, zostaw ją idiotko, chyba tak głupia nie jesteś, że nie wiesz czym to grozi - szepnął Krzysztof, a głośno zawołał: - chłopaki ja już straciłem

zdrowie, głos mnie zawodzi od namawiania tej naszej towarzyszki wychowawczynie, może wy spróbujecie?... Cofnął się rozkładając ręce.

- Madame pozwoli, że tym razem dopuścimy, że tak powiem, do głosu klasę robotniczo-chłopską. Cicho rebiata, teraz lud ma głos!

Odgarnęłam skudlone włosy Grażyny z pokrwawionej twarzy i zabuczałam jej prosto w ucho. Kiedy wstrząsnęła się, rękami osłaniając twarz, powiedziałam do ucha już normalnym głosem:

- Wstawaj i jak możesz najszybciej ładuj się do strumienia! Jak będziesz całkiem mokra i odwróć od ciebie oczy, leć do ośrodka i wołaj Intendentkę. Broń Boże nie idź do dziewczyn, bo ci życie nie dadzą.

Grażyna kiwała głową, jakby coś zaczynało do niej docierać. Dla wszelkiej pewności uszczypnęłam ją mocno. aż zawyła i potykając się na obłych kamieniach, na czworakach podpierając się rękami, gramoliła się w stronę strumienia. Jedną ręką próbowała podciągnąć majtki, ale zbyt były podarte, aby utrzymać się na jej tyłku, zerwała je więc i zostawiła na kamieniach.

Człowiek w skórzanych spodenkach zszedł już ze zbocza i mył ręce po drugiej stronie strumyka, zerkając co chwila w naszą stronę. Dziewczyna bez majtek, to dopiero atrakcja!

Grażyna schowała się za wielki głaz. Miałam nadzieję, że pod jego osłoną odeszła już dość daleko, aby nikomu nie oplotało się jej gonić.

Za plecami usłyszałam szmer kroków. Podchodził Kowboj ze szklanką napełniona po brzegi wódką w ręku. Wyglądał bardzo dziecinnie, niemal rozczulająco, gdy w skupieniu próbował nie uronić kropli. Nie jak kowboj w każdym razie.

- Proszę, niech pani wypije. Ton uprzedzająco grzeczny nie pasował do tego chłopaka. Nie tak mówiono w westernach, nie tak mówił Kowboj. *Zupełnie śmiesznie, jak powierzchnia zjawisk nie przystaje do tego, co jest we wnętrzu. Może zresztą i pasuje, tylko my szyjemy iluzje z przypadkowych strzępów różnych tkanin - takie kołdry, gdzie brokat złączono razem z workowym płótnem i wydaje się nam dziwne, że ze źle wypieczonego chleba złuszcza się gruba skóra, w najmniejszym szczególe nie podobna do substancji mięszu.*

- A jednak pani wypije - stwierdził spokojnie Kowboj. Tak czy inaczej jest nas wielu i wszyscy mogą potwierdzić, że piła pani i było z nami wesoło pod każdym

względem, nie o to więc chodzi. To taka moja osobista ambicja, żeby pani z nami wypła.

Chyba ich nie doceniałam. Głowę miałam ciągle zaprzątniętą nieprzystawalnością formuły westernu do tego, co było wokół, jakby było to najważniejsze zagadnienie tej chwili, jakby jego rozstrzygnięcia nie można było odłożyć nawet na minutę. Śmieszne, jak natura broni człowieka przed grozą i jak chałupniczych metod do tego używa!

Popatrzyłam na Kowboja drwiąco i spytałam głupawo:

- A jeżeli nie, to co? Uduście mnie, czy utopicie w strumyku?

Chłopcy zbliżyli się i stanęli półkolem. Kierownik dogadywał:

- Dalej chłopcy, nie wiecie co robić, jak panna się certoli, ot co! Krzysztof milczał. Z daleka nadchodziła Krystyna, zza gładów migotała spódnica w tęczowe koła. Intendentki nie było widać. Szkoda. Spokojnym ruchem Kowboj wyciągnął nóż. Nie widziałam jeszcze takiego noża, więc gdy pokazał mi na wyciągniętej dłoni obły kształt, przez mgnienie oka pomyślałam: Co za głupoty mi pokazuje? Niewielki ruch palcem i z wiśniowego trzonka wystrzeliło błyszczące ostrze. Zamurowało mnie. Chłopcy stojący dookoła ścieśnili się. Czy to możliwe, aby tak nieprawdopodobna rzecz w ogóle się zdarzyła?

- Już się robi panie kierowniku! - zawołał ktoś. Wiedziałam, że nie widać mnie zza ich głów i ramion i o to zapewne chodziło, bowiem Kowboj już zupełnie nie bojąc się przytknął nóż do mojej szyi, a szklankę do ust.

Wypiłam wódkę aż do dna. Szklanka dzwoniła mi o zęby, przytrzymałam ją więc dłonią, a chłopcy nie odsunęli się, dopóki cokolwiek było na jej dnie. Nie myślałam nigdy, że jestem taka słaba. Mogli przecież żartować, a ja im uległam. Zrobili ze mnie klasyczną idiotkę. Na pewno żartowali. Jestem tchórzem, takim straszliwym, ale choć nic nadzwyczajnego się nie dzieje, daję się wystraszyć. Ja też mogę wziąć nóż i przytknąć komuś do gardła, co nie znaczy, że musiałabym nim poruszyć.

Biegłam do ośrodka co sił. Intendentka była w swoim pokoju, nawet nie miała zamiaru pójść na plażę.. Płacząc i krztusząc się próbowałam jej opowiedzieć wszystko, jakbym nadal wierzyła, że grozili mi na serio, ale jej wzrok spowodował, że nagle umilkłam. Okrągłe oczy sowy pod włosami rozdzielonymi na czubku głowy równą linią, tak białą, że zdawałoby się z innego ciała sporządzoną niż skóra twarzy czy

dłoni, patrzyły na mnie badawczo. Na ich dnie czaiła się pustka i niewzruszone przekonanie, pewność jakiejś nic nie jest w stanie zachwiać ani uszkodzić, twardsza niż wszystko, co dotychczas widziałam.

- Pani jest pijana - powiedziała Intendentka z niesmakiem. Proszę iść i przespać się. Zawiodłam się na pani; tak dobre miała pani opinie, że aż dziw, że tak łatwo zechciała pani jednym krokiem przekreślić to wszystko, co składa się na dobre mniemanie o człowieku.

- Ale Grażyna...- próbowałam powiedzieć.

- Grażyna jest dziwką. Jutro wezwiemy jej rodziców, niech zabierają ją z powrotem. Tak się uświnić, wstyd! Nic dziwnego że zmyśla jakieś bajki! A jej wychowawczynie, zamiast dopilnować dziewczyny, sama pociąga z chłopakami w krzakach.

Wczoraj był u nas milicjant. Nad rzeczką, w zaroślach znaleziono zamordowanego i ograbionego niemieckiego turystę. Dostał kamieniem w głowę i osiem ciosów nożem. Przedtem pił wódkę; obok zwłok znaleziono rozbitą szklankę. Milicjant sprawdzał nasze szklanki w stołówce, ale były inne. Ta jednak, którą widzę jeszcze przed swoimi oczami, była identyczna, taka nie bardzo typowa musztardówka, lekko z boku zniekształcona tandetnym odlewem. Wśród innych były zapewne na niej odciski i moich palców.

Rodzice zabrali Grażynę. Próbowałam im powiedzieć, że w tym, co się stało, niewiele było jej winy, ale patrzyli na mnie tak dziwnie, że zamilkłam. Grażyna nie broniła się nawet. Intendentka wszystko powiedziała rodzicom przez telefon bezpodstawną obroną ich córki nie miała dla nich żadnego znaczenia, przeciwnie, budziła pewne podejrzenia tym bardziej, że nie było to pierwszy raz; córka dziewictwo straciła w ubiegłym roku, a oprócz niego dwa pierścionki i łańcuszek z krzyżykiem, co gorsza, nikt nie wie w jakich okolicznościach. Nie ma sensu bronić tego, kto na względy nie zasługuje.

Intendentka cały ranek dzwoniła do naszej instytucji, aż wreszcie oświadczyła, że porozumiała się z kim trzeba i że jestem karnie odwołana, a w związku z tym mam natychmiast wracać do Warszawy. Wyjeżdżam jutro rano. Przed chwilą spotkałam na korytarzu Krzysztofa.

- Nic już nie możesz zrobić - powiedział. - Gdybyś jednak próbowała, to pamiętaj, siedzisz po uszy w gównie, a tej szklanki także i ty dotykałaś.



Jedyna moja nadzieja - to wyciągnąć coś od kierownika, cóż, kiedy drzemie zarzygany, z tą zupą pomidorową z ryżem na rudej brodzie, chrapliwie oddycha i nie mam odwagi podejść do niego, szarpnąć go i wykrzyknąć mu w nos wszystkie moje pytania.

Drzwi się otworzyły i wlaź Krzysztof. Zaśmiewa się ze mnie w głos i pyta:

- Czy wiesz, dlaczego przegrałaś? Czego ci brakuje? Ja sobie przeprowadzam ot taką linię: od okna, po krawędzi tego łóżka, między nim a sobą. To, co jest po tamtej stronie, dla mnie nie istnieje. Ujął dłoń kierownika, pogłaskał ją czule i dodał:

- Zupełnie sympatyczną ma łapę. A że tam dalej jest smród i rzygowiny - nie muszę wiedzieć. Ale ty tego nie umiesz i dlatego musisz przegrać. Tak naprawdę całkiem cię lubię, nie myśl jednak, że cofnę się przed czymkolwiek, żeby zmusić cię do milczenia. Jak widzisz, nie muszę nawet osobiście się w to angażować. Wykonawcy zawsze się znajdują. Popatrz, taka Intendentka, wydawałoby się kryształ bez skazy, a jak jej Krystynka zagrożona, to ani mru mru. Ten tutaj, też, ale to dłuższa historia... Przyjemnej podróży. Nie masz się co łudzić, że się obudzi i pozwoli ci zostać, on tu też nie ma nic do gadania.

*Kiedy zejść w dół i pogrążyć się w bezpiecznym lesie, najpierw będę musiała odnaleźć strumień spływający z przeciwległego zbocza. Początkowo pójdę ścieżką wzdłuż tego potoku, wilgotną i chłodną jak ścieżka koło kuchennych schodów mojego domu, wiecznie pogrążona w mroku, śliska od wychlapywanych codziennie mydlin; potem, im bliżej będę szczytu, tym lepiej muszę zacierać ślady w trosce o swe bezpieczeństwo, odchodzić i powracać do strumyka, tworząc w ten sposób ślady fałszywe; aż wreszcie bosymi stopami wejść w nurt i tak będę szła. Żaden pies tropiący mój ślad już go nie odnajdzie, a gdyby nawet taki się znalazł, gdyby dotarł za mną aż tu, na górę, nic mu z tego nie przyjdzie. Wejście do jaskini maskuje ogromny głaz leżący na małej wysepce pośrodku potoku. Kiedy pochylę się i nacisnę wystający spod niego płaski kamień, głaz obróci się na niewidocznych zawiasach...*

W firmie nikt nie wiedział o moim powrocie. Nikt nie zwalniał mnie z pracy, zwłaszcza karnie, nikt z Intendentką nie rozmawiał; przeciwnie, byli oburzeni, że wróciłam. Organizator powiedział, że taki samowolny wyjazd jest ciężkim naruszeniem dyscypliny pracowniczej i niemożliwym jest, aby ktokolwiek mógł mi wydać takie polecenie, zwłaszcza Intendentka, która nie jest w końcu najważniejszą osobą na tym obozie. Próbowałam opowiedzieć pani B o tym, co mnie spotkało, ale

nie chciała słuchać. *Ma pani bujną wyobraźnię, wystraszyła się pani, bo towarzystwo, prawdę mówiąc rzeczywiście nieciekawe i wyobraża sobie pani Bóg wie co. Pobity turysta? To sprawa milicji. Gdyby podejrzenia były słuszne, na pewno znajdą tego, który zawinił. Trzeba tylko spokojnie czekać. Ale myślę, że chcieli panią postraszyć i wykorzystali tę sytuację, żeby pani myślała, że to oni. Nie ma co się przejmować, trochę mniej naiwności w życiu tylko może wyjść na dobre.*

Na szczęście nie kazali mnie wracać i nie zabrali wyłaconych pieniędzy.

## **15 wrzesień**

Były wakacje, nie ma wakacji. Pozostało mi zarobionych 500 złotych, więc w sierpniu postanowiłam raz wreszcie odpocząć nad morzem. Ze trzy dni pomieszkałam w peteteku, potem na ulicy spotkałam Jacka. Przyjechał tu na trzy dni z Irminą, ale pokłócili się i dziewczyna gdzieś mu się zmyła. Trzy dni wychodziliśmy na wszystkie pociągi, żeby ją odnaleźć, ale albo pojechała z kimś samochodem, albo gdzieś się przyczaiła, w każdym razie na plażę nie chodziła. Między pociągami włóczyliśmy się z Jackiem bez celu i powodu, ot tak dla zabicia czasu. Tymczasem skończyły się pieniądze, zostało tylko tyle, ile potrzeba na podróż. Jacek wymyślił, jak przedłużyć nasz pobyt, ciągle bowiem ma nadzieję, że odnajdzie Irminę, a mówi, że jestem o wiele lepszym kumplem na czekanie niż inni. Zaprowadził mnie do swojej siostry, u której mieszkał. Nie powiem, przywitała mnie serdecznie, ucałowała w oba policzki, a wieczorem posłała nam na jednym tapczanie. Jeszcze nie byłam nigdy w łóżku z żadnym chłopakiem, więc odczekałam, aż zostałyśmy same i powiedziałam jej, że ja z Jackiem nie spiam. Roześmiała się tak głośno, że aż jej mąż przyleciał z kuchni pytając o co chodzi, a za nim przycwałowały dzieciaki. Jak tu takim się tłumaczyć! Zrobiłam się strasznie czerwona na twarzy, a ona śmiała się jeszcze bardziej, aż w końcu wśród nieustannych chichotów wykrztusiła, że przecież jeśli nie chcemy, to nie musimy, a ona i tak miejsc do spania nie rozmnoży, więc tak czy inaczej, musimy spać razem. Pomyślałam, że traktuje mnie jak dzieciaka i było mi jeszcze bardziej wstyd, że jestem taką drobnomieszczanką. Położyłam się od razu, a oni siedzieli jeszcze trochę w drugim pokoju, aż przyszedł Jacek. Najpierw położył się na podłodze, ale nie miał się czym przykryć, więc w końcu mimo wszystko złądownaliśmy razem. Krwi ze mnie wyciekło tyle, co z zarzynanej kury i tylko był kłopot z upraniem prześcieradła w tajemnicy przed siostrą Jacka.

Tak zaczęłam chodzić z Jackiem. Nie jest mi z nim dobrze, więc nie wiem, czemu to robię. Lubię go słuchać. Mówimy wyłącznie o wojnie światowej. Jacek opisuje, jak będzie wyglądała. Studiuje weterynarię, więc skupia się przede wszystkim na tym, co będzie działo się ze zwierzętami; jak będzie wypadła im sierść, a spod niej prześwitywać będą placki sparszywiającej skóry; jak świnię będą pożerać swoje małe, a domowe koty zmieniają się w drapieżniki rzucając się do gardeł wszystkiego, co żyje. Ludzie interesowali go mniej; tyle jest zdjęć i relacji z Hiroshimy, każdy może dowiedzieć się jak to wygląda, co nie zmieni faktu, że nawet ludzie zdrowi i zadowoleni budzili w Jacku odrazę, a cóż dopiero chorzy i zdiczeli od cierpienia, ci na pewno nie zasługiwali jego zdaniem nawet na krztę litości. W końcu oni to wymyślili, tę całą drańską wojnę, a nie biedne zwierzęta; a w życiu jest tak, że co jeden złego wymyśli, to inni na pewno zmałpują. Termin zagłady także wyznaczył - będzie to październik, początek października, ale nie chce zdradzić, którego roku. Tak więc, przez lata, dwudziestego października o dwudziestej, o ile będziemy jeszcze żyli, spotkamy się pod *patykiem*, a od Jacka dostane paczkę Sportów w nagrodę, że przeżyłam jeszcze ten rok. Śmieję się z niego; tak dobrze mu w życiu było, fajni rodzice i w ogóle, a jest ponury, że nie do uwierzenia. Mimo tych żartów rośnie we mnie strach. Za dużo rzeczy napawa mnie strachem, żeby jeszcze bać się wojny atomowej; nie powinno się o tym myśleć, cóż, kiedy dookoła tylko o tym trąbią. Ze sobą jest nam paskudnie - trzy razy próbowałam zerwać, ale zrezygnowałam, co gorsza, nie wiem czemu. Zbyt miękka jestem; gdy tylko ktoś zaczyna mnie prosić, ulegam. Jacek mówi, że nie warto w sprawach naszego bycia ze sobą podejmować jakichkolwiek decyzji, nasza rychła śmierć całkowicie sprawę rozwiąże, a jeśli jakimś cudem się opóźni, to będzie jeszcze mnóstwo czasu, żeby wszystko się ułożyło. Zresztą nie ma co się spieszyć, każde działanie może tylko wszystko pogorszyć, nawet te rzeczy, które wydają się i tak już nie do zniesienia.

Jak dotąd nic się nie układa. Kiedy w poniedziałek obiecuję mu pod presją, że w tym tygodniu z nim nie zerwę, a każdy poniedziałek jest dla mnie mordęgą, po dwóch dniach już powtarzam, że mimo to między nami wszystko prędko się skończy. W polityce też paskudnie, czytanie gazet jest nie do zniesienia. Ciągłe ktoś kogoś morduje, ciągle ktoś protestuje, biednym dzieciom puchną brzuchy na kronice filmowej, a jakiś dyktator wyłożył sobie kibel setkami drogich kamieni. Nie napisali tylko, jak to zrobił, że tyłka sobie nie poodgniał. Może podkładał jakieś złotogłowie,

czy inne drogocenne tkaniny. Takie anomalie powinny być opisywane ze wszystkimi detalami, a tu tylko krótka wzmianka bez szczegółów: biedny człowiek powinien mieć prawo wyobrazić sobie, że sam siedzi na takim kiblu, powinien czuć, w którym miejscu jego łydka dotyka wypukłej rzeźby właśnie wtedy, gdy uda się do swojego wychodka, przeznaczonego dla sześciu rodzin w domu, gdzie urwisy obluzowały z tyłu deskę i skąd poprzez szparę zacina deszcz nieprzyjemnie chłodząc tyłek, tym bardziej, że jakaś świnka nasrała na deskę i trzeba kucnąć, zamiast usiąść. Jacek mówi, że mocarstwa nie są jeszcze gotowe i dzięki temu mamy jeszcze trochę czasu dla siebie i innych, ale wkrótce uzbroją się należycie i po wszystkim.

Ale za bardzo wybiegłam w przód. Wróciliśmy z Jackiem znad morza autostopem. Jechało z nami jeszcze kilka łebków i wszyscy, jak jeden mąż, zgadzali się z Jackiem, że wojna będzie zupełnie niedługo. Były z nami jeszcze dwie dziewczyny, ale one nie nadawały się do żadnych rozmów, tak zapatrzone były w swoich chłopaków. Ciekawe, że na autostopie dziewczyny są bardziej pilnowane przez chłopaków, niż żony w domu przez zazdrosnych mężów. Niejednej do nikogo, nawet do innej dziewczyny nie wolno ani mru mru, bo tak nakazał pan i władca, koniec, nie ma gadania, morda w kubeł. Ja i Jacek jesteśmy wyjątkiem, gadamy co chcemy i z kim chcemy i jedno do drugiego pod żadnym względem nic nie ma. Przespałam się nawet z jednym chłopakiem, żeby sprawdzić, jak ze mną i Jackiem jest, ale Jacek był w porządku, oddał nam nawet swój śpiwór i wyniósł się ze stodoły do obórki. To jedyna fajna rzecz, ta moja wolność na tym autostopie, choć nie powiem, że bym nie odczuwała goryczy, ale w ogóle i bez tego było kiepsko. Forsy nie mieliśmy, więc trzeba było szybko wracać, najgorzej, że nic się nie napatoczyło lepszego, niż wywrotka po węglu, więc przyjechaliśmy czarni, jak ci kominiarze. Nie chciałam się matce pokazywać w domu, więc poszliśmy do Jacka i on zrobił mi kąpiel, a gdy się kąpałam, przeparał w kuchni moją kieckę i powiesił na balkonie. Wtedy przyszła matka Jacka, ale nie zrobiła nic, gdy weszła do łazienki i zobaczyła w swojej wannie gołą dziewczynę. Przyniosła mi nawet jakiś swój szlafrok i spytała, czy nie jestem głodna. Moja stara by mnie chyba zabiła, a ta niby nic, tylko już przy herbacie i bułkach pyta, czy my z Jackiem to na poważnie. Powiedziałam, że nie i ona była jeszcze bardziej miła i z tej radości zaproponowała, że bym została na noc, bo do wieczora sukienka nie wyschnie, a jej ciuchy, niestety nie będą na mnie pasowały.

## 17 wrzesień

Nad morzem jeszcze jedna rzecz, oprócz wolności, była fajna; może to ona właśnie spowodowała, że tak ni stąd ni zowąd zdecydowałam się spać z Jackiem. Nie liczyło się, że kiedy byliśmy razem, było nam źle, ale to, że kiedy w domu była jego siostra, i ja spałam lub udawałam, że śpię, to Jacek mówił do niej i do jej dzieci: *bądźcie cicho, bo obudzicie ciocię*. Jeszcze nigdy dotąd nie byłam ciocią i nikt nie przejmował się tym czy śpię czy nie. Ja także mówiłam do dzieciaków: *powiedzcie wujkowi, że...* Jak w tej głupiej piosence: *rogaliki na śniadanie z tobą jeść, wspólną szafę na ubranie z tobą mieć...* Nieważne, że z tobą, to nie jest naprawdę z tobą, tylko nie wiadomo z kim, to jeszcze może się wyjaśnić, ważne że jest taka szafa, w której można się schować bezpiecznie wśród wspólnych ubrań. Ubrania ojca i matki nie wisiały w jednej szafie, w jednej jego, w drugiej nasze i matki.

Jutro idę do takiego jednego, dyrektora, obiecał mi załatwić pracę. Mam nadzieję, że niczego za to nie będzie chciał.

## 20 wrzesień

Pracuję na poczcie. Wiążę paczki sznurkiem: dwa razy odmierzyć rozpostarte ramiona i raz od palców po łokcie, pętla zasupłana na końcu odciętego kawałka, sznurek przeciągnąć przez pętlę, zacisnąć, przytrzymać wskazującym palcem, przeciągnąć sznurek pod paczką - palec ciśnie ją w dół, ręka podnosi w górę - zawinąć sznurek nad pętlą, zaciągnąć supełek na jednej trzeciej wysokości płaszczyzny paczki i tak dalej. Sto dwadzieścia pięć razy dziennie - chyba że paczek jest mniej. Czasami siedzę przy kasjerce i wypełniam druczki, podpinając pod każdy z nich kwadratowy lub podłużny świstek.

Dzisiejsze rozmowy: telefonistka powiedziała, że pan K jest u siebie, a nie: Naczelnik Urzędu, pan magister K jest u siebie; pani S nie dostała nagrody, szwagierce pani Z wyśniła się śmierć w rodzinie.

Czytam: Eduardo Chibas, przywódca legalnej partii opozycyjnej na Kubie za czasów Batisty, doszedłszy do wniosku, że legalna walka nie daje nic, popełnił samobójstwo przed mikrofonami największej rozgłośni radiowej Kuby, a już po rewolucji, Hawańczycy dowiedziawszy się, że Fidelowi Castro odmówiono noclegu w

jednym z hoteli amerykańskich, gromadnie wylegli na ulice, rozwiesili hamaki i nocowali w ten sposób. Czyżby piękno życia leżało w nawiązywaniu więzi z innymi poprzez możliwość wykonywania takich gestów? Niektórzy uważają, że są rzeczy ze świata gestów wzięte, w które warto angażować swoje życie. Bardzo piękne są te anegdoty, poczynając od tej o Antygonie i innych; słysząc je człowiek prostuje się, jakby ktoś szepnął mu w ucho: *zawsze jest jeszcze coś zwariowanego, czego nikt przed tobą nie wymyślił, trzeba tylko udowodnić, że traktuje się to poważnie*, aż nagle budzi się, trzeźwieje z upojenia i myśli: *Ależ to idiotyzm!*, bo tu, na poczcie liczy się tylko szybkość i dokładność wiązania paczek i ona wypełnia codzienność. Jesteś tylko rękami, niczym więcej.

## 25 wrzesień

Jacek wyznaczył ostateczny termin naszego zerwania - piętnasty listopad. Mimo to sądzę, że skończy się to jeszcze wcześniej, choć do piętnastego już niedaleko. Wczoraj wracaliśmy z kina tramwajem. W pewnym momencie Jacek zaczął ziewać i utyskiwać, że musi mnie odwozić. Ja na to, że nie musi. On znowu, że w przeciwieństwie do mojej rodziny, jego wychowała go właściwie i dlatego przestrzega w stosunku do dziewczyn, zwłaszcza takich, z którymi sypia się za darmo, obowiązujących zasad uprzejmości. Mówię mu więc:

- Spływaj, na co czekasz, i tak już nie będę z tobą sypiać.

Jacek na to:

- Nie widzisz, że spływam? - odparł, a łzy ciekły mu po twarzy jak dziewczynie.

- Wiec zrób to od razu i po krzyku, a jak ci będzie źle, poproś rodzinę, co cię tak dobrze wychowała o forszę na dziewczynę; na pewno ci da; takie rozsądne mamusie nie lubią, jak słodki synuś, najukochańsze złotko, za długo z jedną panienką mota. - powiedziała wściekła i upokorzona, zanim dotarło do mnie, co oznaczało jego *spływam*.

To był pierwszy chłopak, który płakał przy mnie; chlipał normalnie jak jakiś debil, publicznie, w tramwaju, nie wstydząc się nikogo, spływał łzami. Ja też się popłakałam i znowu było jak dawniej, całkiem źle.

## 2 październik

Jacek zdaje ósmego jakiś egzamin, zaproponowałam mu więc, że zamiast spotkać się za dwa lub trzy dni, zobaczymy się już po tym egzaminie. Powiedział, że to nawet lepiej, z takim specjalnym naciskiem na słowo *lepiej*. Wszystko jest wiadome i nie mogę sobie wybaczyć, że nie odeszłam wcześniej; teraz on jest górą; jeśli nie nauczę się zamykać oczu, zatykać nosa i skakać do wody - zawsze będzie mi tak źle, jak teraz.

Jacek dostał wczoraj pięknie opakowane pudełko, pachnące już z daleka dosyć dziwnymi perfumami. Zapach ten, mimo obcej, nieprzyjemnej, zgniławej domieszki, był mi znany; zastanawiałam się, czy nie używała ich Irmina, ale nie byłam pewna. W paczce znajdowała się kurza łapka z misternie pomalowanymi paznokciami, przy "nadgarstku" ozdobiona cieniutką koronką, przymarszczoną do czarnej aksamitki, na "palcu" miała pierścień zrobiony z koralika, w rękę zaś "trzymała" karteczkę: *uścisk mej dłoni jest zimny, choć kocham cię gorąco*.

Mama Jacka o mało nie zemdląła, mną wstrząsnęło z odrazy, ale Jacek od razu rozpoznał charakter pisma: nie na darmo chodzili z Irminą do jednej klasy. Zaczął tańczyć dookoła stołu, podskakiwał jak dziecko, obrócił mną w wyimaginowanym tańcu. Taka radość z głupiego, niesmacznego kawału! Poczułam, że on i Irmina poruszają się w tym samym świecie, który mnie jest niedostępny, to samo ich bawi, to samo smuci; są ponurzy w zupełnie inny sposób, niż ja. Bóg z nimi!

Pożegnaliśmy się na sześć dni. Potem tylko jeszcze jedno spotkanie i już będzie dwudziestego października, "patyk" i paczka sportów, o ile przeżyjemy, oczywiście.

## 10 październik

Już po wszystkim. Sprawdziłam w kalendarzyku - sielanka trwała, odliczywszy naturalnie czas do ostatniego spotkania, całe trzydzieści sześć dni, jak trochę przydługi okres między miesiączkami. Nie chce mi się pisać dalej tego pamiętnika i właściwie chyba nic takiego nie ma, po co nawet miałabym ochotę się schylić. Napisał ktoś, że ustawiczne schyłanie się po szczęście uczyniło go zeszywniałą podkową. Ze mną jest inaczej, zastygłam w postawie wyprostowanej, taki kijek, jeśli spróbuje się go zgiać,

trzaśnie. Schylenie się dla kijeków jest przeciwne ich naturze, pokój z nimi, trzeba żyć, jak im przypisano.

## 12 grudnia

Pocztowy *savoir vivre* anno domini 1963: naczelnik wchodzi do pokoju, w którym pracują panie: Jadzia, Krysia, Basia oraz panowie, Sławek i Kazik. Co robi, gdy, załóżmy, przyszedł w jakiejś sprawie do pani Basi? Po pierwsze: wkracza (broń Boże żeby powiedział *dzień dobry*, jeśli powie, to nie on, *dzień dobry* mówią tylko klienci). Po drugie: podaje rękę bez słowa panom Sławkowi i Kazikowi. Po trzecie: podchodzi do pani Basi i mówi: *proszę zrobić to i to*. Po czwarte: na pożegnanie podaje rękę panom Sławkowi i Kazikowi, wychodzi i zamyka drzwi. Najgorsze, że to wcale nie jest sprawa dobrego czy złego wychowania, tu chodzi o coś innego: mężczyzna to człowiek, pracownik, trzeba go szanować, okazać koleżeństwo istniejące mimo służbowej zależności, żeby nie myśleli, że naczelnik się wynosi; kobieta, pracownica - ot baba i tyle. Jakiej trzeba rewolucji, żeby to zniszczyć?

Jakie piękne oczy ma Che Guevara! Podobno *Che* znaczy *ej ty tam*, czy coś w tym rodzaju, takie nieprzetłumaczalne zawołanie. To wspaniałe, nazywać się *Ej ty tam*, a mimo to wie o tobie cały świat! Ty jesteś tylko rękami, niczym więcej. Kurzą łapką w mankiecie z koronek.

## 20 grudnia

Pani B otwiera listy, moje listy, twierdząc, że jeśli adresowane są na urząd, to nie są listy prywatne, tylko służbowe. Dopisek mojego nazwiska na kopercie nie ma dla niej żadnego znaczenia, porządny człowiek otrzymuje listy do domu, a nie do biura. Ja pracuję na tej samej poczcie, z której listonosz nosi mi listy do domu, więc po co do licha ma się trudzić? Naczelnik powiedział, że to może zdarzyć się przez pomyłkę i dlatego radzi mi nie podawać adresu poczty, tylko domowy, a jeśli go podaję, to sama sobie jestem winna. A przecież ktoś inny, jak nie on powinien wiedzieć, co to jest tajemnica korespondencji! Zanim wszystko odkręciłam, przyszło do mnie wezwanie do sądu i pani B oczywiście go przeczytała. Teraz mawia z fałszywą troską w głosie: *Najbardziej współczuję dziewczętom z rozbitych rodzin. Nie*



*nadają się do małżeństwa, żaden rozsądny chłopak z taką się nie ożeni, co rodzina, to rodzina.*

## **19 styczeń**

Podobno maja nadejść trzydziestostopniowe mrozy, a mnie został tylko jeden kubelek węgla. Fakt ten uczciłam zielonym napisem na ścianie: *Aby do wiosny.* Zawartość kubelka odłożyłam na czarną godzinę, a żeby nie korciło mnie, zamknęłam na klucz w szafie, a klucz od szafy wrzuciłam na półkę, między ciuchy. Po raz pierwszy w tym roku pozostawiona na noc w misce woda zamarzła i rano musiałam roztopić ją na maszynie elektrycznej. Mamę znowu zabrali do szpitala. Nie wiem, co ona robi z pieniędzmi, dałam jej na węgiel i światło; jedzenie od dawna kupuję sama, bo gdyby zostawić zakupy mamie, to dziś będzie szynka, a jutro ssanie łapy; ale mimo to nie upilnowałam. Spotkałam inkasentkę, powiedziała, że była, ale mama jej nie otworzyła i że to już drugi raz, więc musiała zgłosić niezapłacenie rachunku. Nikogo teraz w dzień nie ma w domu, więc nie uda mi się spotkać montera i uprosić go, żeby jeszcze trochę poczekał. Mówienie czegokolwiek mamie nie daje rezultatu i tak odpowiada: *ojciec musi za mnie za wszystkie długi zapłacić, ponieważ jestem na jego utrzymaniu, dwoje dzieci wychowałam i musi mnie utrzymywać.* Lekarz powiedział, że gdy podpiszę zgodę, to zabiorą matkę na leczenie psychiatryczne; wszyscy jej mają dość, bo każdy w najbliższym otoczeniu, pacjent, lekarz, pielęgniarka, obojętnie kto, są szpiegami nasłanymi przez ojca; jednak nie podpisałam. Kto wie, która z nas jest normalna?

## **22 styczeń**

Dzisiaj wyłączyli elektryczność. Rachunek mogę zapłacić dopiero pierwszego, monter przyjdzie tydzień później, co najmniej dwa tygodnie bez światła.

## **24 styczeń**

Poszłyśmy z Zośką i jej narzeczoną do jego kolegi na urodziny. Myślałam, że będzie jakieś przyjęcie, trochę gości, tymczasem byliśmy tylko we troje. Zanim się

zorientowałam, tamta dwójka gołąbków wyniosła się, a ten ich kolega, chłopak, którego zobaczyłam po raz pierwszy w życiu, nie wiem nawet, czy zdażyłam choć trochę porozmawiać z nim, usiłował mnie zgwałcić. Prosił, groził, ofiarowywał pieniądze, mimo że jeszcze wtedy, gdy niczego nie podejrzewałam, zamknął drzwi na klucz, a klucz schował, na szczęście niezbyt sprytnie, ale nie udało się mu. Dałam sobie radę, choć nieźle oberwałam i zostałam bez płaszcza i butów. Na szczęście udało mi się w całej tej szarpaninie odnaleźć klucz i zwać. Myślałam, że spalę się ze wstydu w tramwaju; w czarnej sukience z dekoltem i naderwanym rękawem, w szpilkach i z rozbitym nosem, bez torebki, chusteczki i tym podobnych. Jakaś kobieta dała mi torebkę foliową, podstawiłam ją pod nos, aby tam kapiała mi krew. Niestety, chusteczki nikt nie dał, może im było żal, a może wstydziło się, że były brudne. Nie to jednak było najprzykrzejsze. Na szczęście zbyt się trzęsłam ze wzburzenia, aby zmarznąć, nie na tyle jednak, żeby nie widzieć, że wszyscy dookoła mnie patrzyli się na mnie, jakbym to ja była winna, jakby ten rozkwaszony nos słusznie mi się należał za jakieś przewiny wobec nich, porządnych ludzi ciepło ubranych i jadących w swych słusznych sprawach tramwajem; za przestępstwa o szczegółach tak żenujących, że nie powinno się nawet o nich wspominać.

Rano poszłam do matki Zośki i wszystko jej opowiedziałam. W końcu to jej córka ze swoim chłopakiem w takie tarapaty mnie wpędzili. Z żadną obcą dziewczyną nie poszłabym na nieznaną imprezę, ale z Zośką, koleżanką z klasy? Nasze matki przecież niejedną wieczór przepłotkowały! Wszystko musiało być z góry zaplanowane, jak ona mogła dać się na coś takiego namówić?! Najważniejsze jednak, że musiałam odzyskać płaszcz i buty, a sama za nic w świecie tam bym nie wróciła, potrzebna więc była matka Zosi, niech teraz coś wymyśli!

Siedziałam u niej, kiedy przyszli starzy tego chłopaka. Schowana w drugim pokoju słuchałam, jak prosili ją, aby pomogła im znaleźć mnie, zanim przyjdzie mi coś głupiego do głowy jak złożenie skargi na milicji czy coś w tym rodzaju. Matka Zośki ma klasę; drażniła się z nimi, powiedziała, że tylko dlatego nie poszłam jeszcze na milicję, bo przedtem jej mąż ma zawieźć mnie na obdukcję do znajomego lekarza i że ona nie jest upoważniona do załatwiania z nimi tej sprawy, może tylko to i owo doradzić mojej matce, bez gwarancji jednak za rezultat, a zresztą nie ma specjalnej ochoty się mieszać. Moja matka jest chora na serce, w tej chwili przebywa w szpitalu; taka wiadomość mogłaby ją zabić, tak mnie kocha i tak starannie wychowała, mimo że

zmuszona to była robić samotnie. Stara chłopaka coś jej tam widocznie szemrała, bo wybuchła oburzeniem i zawołała mnie z drugiego pokoju twierdząc, że mogą przekonać się na własne oczy, co ich syn zrobił z przyzwoitą dziewczyną, może odrobinę zbyt naiwną, dziewicą oczywiście, a nie żadne tam bógwico. Niestety, moja biedna matka chowała mnie pod kloszem i takie są tego rezultaty.

Cena za przyzwoitą dziewczynę okazała się widać przystępna, bo już bez żadnych dalszych targów przyjęto wysokość kwoty, trzykrotnie przewyższającej moją pensję. Słuchałam tego wszystkiego z takim zaciekawieniem, jakby to mnie nie dotyczyło. Jak mało wiem o życiu, skoro do głowy nie przyszłoby mi, że takie targi są możliwe! Ale heca, tyle forsy! Kiedy uświadomiłam sobie, że to o mnie chodzi, chciałam odruchowo zaprotestować, ale matka Zośki uszczypnęła mnie, powiedziałam więc, że chcę z powrotem mój płaszcz i buty, a pieniądze mam w nosie. Na to oni odpowiedzieli, że syn ich, biedny chłopiec, tak to wszystko głęboko przeżył, że kiedy uciekałam, wyrzucił to wszystko do śmietnika, w dodatku nie w ich bloku, tylko w sąsiednim i nie pamięta ze wzburzenia gdzie to było, tak że moich rzeczy, mimo usiłowań nie odnaleźli. Dołożyli więc mi osiemset złotych na płaszcz i buty. Potem matka Zośki powiedziała, że ich chłopak ma przyjść i przeprosić mnie, więc zawołali go, bo czekał na podwórku i kazali mu przeproszać, a także spytać, czy uważam się za wystarczająco usatysfakcjonowaną i czy wybaczam im ten wybryk. Matka Zośki wzięła od nich pieniądze, ale potem dopiero powiedziała ostro, co myśli o nim i chłopaka wygoniła, zanim zdążył powiedzieć choć słowo. Poszli jak zmyci, położywszy uszy po sobie, ale widać było, że kamień spadł im z serca i dlatego niezbyt protestowali z powodu tego, co mówiła.

Nie chciałam wziąć pieniędzy, ale matka Zosi tłumaczyła mi, że ci ludzie szacunek mają tylko dla takich, którym muszą płacić, więc w przyszłości, dla innych dziewczyn lepiej, gdy rodzina uświadomi chłopakowi, ile takie wybryki kosztują; inna argumentacja do takich ludzi, jak oni, nie trafia, szkoda więc zawracać sobie nimi głowy i unosić się honorem.

Mimo tego nadal nie chciałam wziąć tej forsy, ale w parę dni później matka Zosi poszła do mojej mamy, do szpitala, dała jej pieniądze, potrącając sobie to, co kiedyś moja mama od niej pożyczyła, mówiąc że pomagałam jej młodszej córce w matematyce i chociaż nie chciałam wziąć za to pieniędzy, to uważa, że mamie się przydadzą. W rezultacie matka na mnie nakrzyczała za wielkopańskie fochy. Nie

wiem czy kiedykolwiek położę się z kimś do łóżka nie pamiętając o tych pieniądzach. Czuję się, jakby ktoś specjalnie na mój użytek obliczył nie tylko cenę płatnej miłości, ale i odmowy, oszukując przy tym, że odmawia dziewica.

## 28 styczeń

Ciągle bolało mnie przy oddychaniu, więc poszłam na prześwietlenie. Okazuje się, że mam pęknięte żebro! Dostałam zwolnienie lekarskie, więc nareszcie się wyspię za wszystkie czasy. Precz z rannym wstawaniem do pracy! Kupiłam węgiel, całą tonę, zapłaciłam światło i karę, czekam tylko na montera.

## 20 luty

Poczta jest okropna. Ja tu nie wytrzymam dłużej! Dzień po dniu: *Pani za dużo dzwoni, pani pisze za dużymi literami, nie wszystko się na druku mieści i potem trzeba nadmiernie skracać, pani nie posiada torebki, wstyd przed interesantami, że długopis i chustkę nosi pani w siatce, jest pani urzędniczką, a to zobowiązuje, sznurki niedbale pani zwija w kłębek, zbyt luźno, wyszedł przecież okólnik, że trzeba wszystko oszczędzać.* Chyba zgłupieję do szczeru przy tym zwijaniu sznurka! Zrobiłam im psikus: w codziennym sprawozdaniu z wykonanych czynności umieściłam pozycję: *wiązanie sznurków - 4,5 godz.* Patrzą teraz wszyscy na mnie wilkiem, bo naczelnik spytał, czy nie było już niczego mądrzejszego do roboty, a jeśli nie, to trzeba mnie zwolnić z pracy, bo jestem zupełnie zbędna; okólnik zakłada, że każdy będzie wiązał swoje sznurki, inaczej trzeba by stworzyć odrębne stanowisko pracy, a o tym okólnik milczy. Mam więc tyły u kierowniczkę, nie do odrobienia.

Uprawiaj swój ogródek, wiąż swoje sznurki, włącz na swoją półkę, nie pętaj się po cudzych szufladach. Gośka mówi, że czas na rezygnację. Heniek, że nie wiem, choć powinnam, już wiedzieć na jakiej półce się ustawić. Nieprawda. Wiem, jakie ma być to moje miejsce. Muszę wcisnąć się tam, gdzie zleję się z otoczeniem, przybiorę barwy ochronne. Półka już przesadzona, tylko jeszcze trochę sobie poskaczę.

Nocami widzę tego turystę, jak łązi Bóg wie po co po zboczcu. Boże broń, nie wmów sobie winy, ty wariatko!

## 7 marzec

Poznałam fajnego faceta. Ma na imię Andrzej. Opłaca u nas co miesiąc należności za światło, mieszkanie i telefon. Zgadaliśmy się, że mamy wspólnych

znajomych. Często wpada na pocztę ot tak sobie, po drodze z pracy. Raz odprowadził mnie do domu.